



Mirosław Derecki  
LISTY Z LONDYNU:  
„GRAND CARNIVAL DANCE”

Zabawa karnawałowa, w której miałem możliwość uczestniczyć w drugą sobotę lutego, nie była z pewnością ewenementem towarzyskim w życiu całej stolicy Wielkiej Brytanii, stanowiła natomiast wydarzenie w pewnym kręgu społeczności londyńskiej, ściślej: ludności charakteryzującej się czarnym kolorem skóry, a jeszcze ściślej - tego jej odłamu, który zrzeszony jest w West-Indian Economical Social and Cultural Organization.

Nazwa jest łatwa do przetłumaczenia, nawet dla osób, które nigdy nie zetknęły się z językiem angielskim, natomiast warto wyjaśnić, że chodzi tutaj o stowarzyszenie ludności pochodzącej z malowniczych wysp Morza Karaibskiego, szeroko rozsianej po mieście – kolosie, jakim jest ponad dziesięciomilionowy Londyn.

West-Indian Economical Social and Cultural Organization ma za zadanie kultywowanie folklorystycznych i kulturowych tradycji ojczystego regionu, ale także - i to w bardzo szerokim zakresie - troszczy się o zapewnienie swoim członkom odpowiednich warunków życiowych.

Na co dzień członkowie stowarzyszenia mogą się spotykać w klubie położonym w dzielnicy Hammersmith, w południowo-zachodniej części Londynu. Natomiast raz do roku ściągają tłumnie na wielki karnawałowy bal, Grand Carnival Dance, organizowany najczęściej w przyległej do Hammersmith dzielnicy, a właściwie „gminie” (Borough) – Fulham, w budynku Fulham Baths, czyli kompleksu łaźni, krytych basenów pływackich i sal gimnastycznych, mieszczącego się przy ruchliwej North End Road.

Przygotowania do tej imprezy ciągnęły się od początku stycznia, o czym byłem poinformowany przez mojego znajomego i sąsiada, Victora, będącego jednym ze współorganizatorów balu.

Już w połowie stycznia na murach domów w różnych dzielnicach Londynu pojawiły się afisze informujące, że: „Saturday, 12-th February 1972, at 3,30 p.m. to 11,30 p.m.” odbędzie się „Grand Carnival Dance” organizowany przez – tu następowała nazwa wspomnianego

stowarzyszenia – a do tańca będą przygrywać orkiestry: „The Golden Astronauts” oraz „Caribbean Syncopators” ( obie złożone z czarnych muzyków, pierwsza specjalizująca się w „pop”, a druga w „folk music”).

Podobnej treści ulotki rozdawano przechodniom na ulicach, podobnej treści informacja widniała na pięknych, wielkich, drukowanych na różowym w białe kwiatki kartonie - zaproszeniach, które można było otrzymać za umiarkowaną cenę - 60 pensów od sztuki.

Bał można by ściślej określić mianem wielkiej zabawy ludowej w szerokim tego słowa znaczeniu, z zaznaczającymi się mocno elementami folkloru murzyńskiego, skażonego tu i ówdzie naleciałościami kultury zachodnioeuropejskiej.

W wielkiej hali sportowej, zamienionej ad hoc na salę balową - co uzyskano przez ustawienie estrady dla zespołów muzycznych, oraz dwóch rzędów krzeseł pod ścianami, nie bawiąc się w takie detale jak dekoracje, „nastrojowe” oświetlenia itd.itd. - zgromadziło się około tysiąca osób, głównie o ciemnym kolorze skóry. Nie brakowało też jednak białych oraz par mieszanych.

Widziało się przedstawicielki i przedstawicieli różnych klas społecznych, od prostych robotników po poważnych reprezentantów „prywatnej” inicjatywy, poza tym - playboy'ów, hippiesów oraz różnorodną artystyczną swolocz.

Oczywiście nie zabrakło Polaków. Lubelskie sfery dziennikarskie reprezentował niżej podpisany, młodą łódzką myśl ekonomiczną - magister Andrzej S.

Charakteryzowało nas stronienie od tej części sali, w której widniała miła sercu Polaka wywieszka z napisem „Licenced Bar”, z powodów, które wyłożył jasno Bywalec z „Polityki” w jednym ze styczniowych numerów po swoim powrocie z Włoch. Mieliśmy za to prawdziwą ucztę (duchową) z obserwowania tego, co się dzieło w sali.

Przede wszystkim stroje: panie nosiły głównie fryzury typu „afro” oraz bajecznie kolorowe suknie, przy czym dominującym kolorem był jaskraworóżowy. „Hot-pants” sąsiadowały z długimi do ziemi toaletami balowymi oraz prostymi, rozszerzanymi ku dołowi dzinsami typu „bottom bells”, eleganckie lakierki - z tenisówkami, przy czym należy zaznaczyć, że ten ostatni rodzaj obuwie nosili biali hippiesi i hippieski. Magister ekonomii Andrzej S., zupełnie podbity i oczarowany, wystąpił do mnie z propozycją nawiązania bliższych stosunków polsko-zachodnioindyjskich, przebąkując coś o możliwościach zakupu kawy dla polskiego rynku, ale później wycofał się stwierdziwszy brak odpowiedniego kapitału zakładowego dla rozkręcenia tego rodzaju interesu.

Co do panów, to ci wystąpili głównie w czarnych garniturach, białych koszulach i krawatach, chociaż można się było natknąć na stroje niezwykle ekstrawaganckie. Na przykład Victor do ciemnych spodni i czarnych lakierków, włożył coś w rodzaju jedwabnej, wściekle

niebieskiej, haftowanej w czerwony ornament rubaszki opadającej do połowy ud, na plecy miał zarzuconą ogromną chustę z napisem: „Souvenir from Trinidad”, na głowie nosił płaski, sztywny kapelusz w szerokie białe i granatowe pasy.

Ze szczególnym aplauzem przyjmowano produkcję „Caribbean Syncopators”, grającym melodie głównie w rytmie rumbi, samby i tanga. Zespół ów składał się z pięciu muzyków. Trzech z nich grało na tak „konwencjonalnych” instrumentach, jak perkusja, gitara elektryczna i tam-tamy, natomiast dwóch muzyków prowadzących posługiwało się instrumentami, których nigdy jeszcze dotąd nie widziałem.

Były to liczne, płaskie, bębny, w których skórę zastępowała wklęsła, najprawdopodobniej spizowa płyta, posiadająca z kolei na swej powierzchni mnóstwo płaskich, okrągłych wypukłości o różnej średnicy. W wypukłości te muzycy uderzali niewielkimi drewnianymi pałeczkami. Instrumenty wydawały dźwięki przypominające gę na ksylofonie, z tym, że dźwięk był bardziej głębszy i łagodny.

Przy każdej kolejnej produkcji muzycznej sala wpadała w ekstatyczne podniecenie. Zatracały się różnice wiekowe i „klasowe”; dostojne czarne metrony siedzące rzędem na krzesłach pod ścianami dali zaczynały rytmicznie kołysać się w takt muzyki (najpierw tułów, potem głowa, wreszcie ręce), podobnie jak ich córki hasające z partnerami na parkiecie. Starsi panowie porywali do tańca młode dziewczyny, kobiety w „kwiecie wieku” były proszone do tańca przez chłopaków – wyrostków, kobiety, gdy zabrakło partnera – ruszały do tańca z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, tańczyły pojedyncze osoby i całe gromady razem, rytm muzyczny znajdował doskonałą ilustrację w rytmie ciała, bal, przypominający w chwilach gdy milczały instrumenty – zabawę w remizie strażackiej w Głusku, nagle zmieniał oblicze, przekształcał się w misterium taneczno-muzyczne.

Patrzyłem na Victora. Tańczył w sposób, jaki w wykonaniu białego mógłby u widza wzbudzić śmiech. Victor stosował „kaczy chód”, drobił w miejscu, z tańca w posuwistym przysiadzie podrywał się nagle w górę i wykonywał kilka podskoków zakończonych piruetem na jednej nodze, potem zginał się nagle w pół, wypinając pośladki i uderzając niemal kolanami we własny podbródek. Były to jednak równocześnie ruchy pełne gracji, swobodne, autentyczne, takie, jakie dyktowała mu muzyka płynąca z atakowanej nerwowymi uderzeniami pałeczek spizowej blachy...

Cóż jeszcze można powiedzieć o owym londyńsko-karaibskim balu odbywającym się w murach starej, dziewiętnastowiecznej łaźni? Chyba to, że : „ja też tam byłem, piwo „Double Diamond” i „Guinness” piłem, po brodzie się lało, w kieszeni nic nie zostało...”